3-4 Biblioteczka Pisarzy i Klasyków Żydowskich 3-4

Cena 90 gr.

I. L. PEREC

# NOWELE

ze wstępem SZ. AN-SKIEGO

Tłomaczyła z żydowskiego Helena Moszkowska.



WARSZAWA 1925.

WYDAWNICTWO „ORIENT"
UL. OGRODOWA Nr. 27, m. 54.

I. L. PEREC

# NOWELE

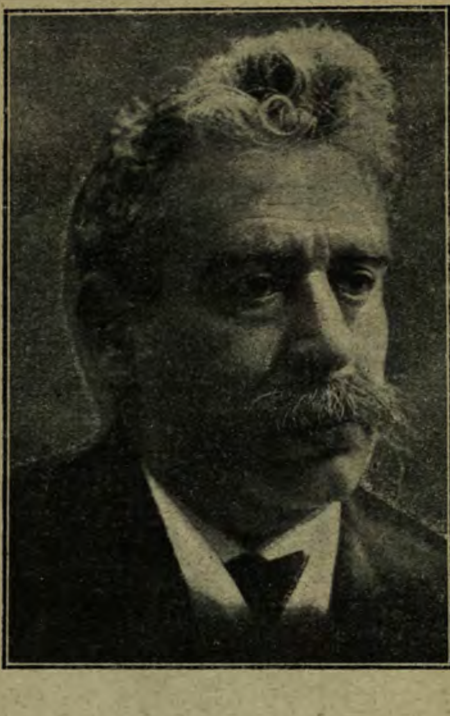
ze wstępem SZ. AN-SKIEGO

Tłomaczyła z żydowskiego Helena Moszkowska.



WARSZAWA 1925.
WYDAWNICTWO „ORIENT"
UL. OGRODOWA Nr. 27, m. 54.

Druk. „Estetyczna“ Warszawa, Dzielna 9, tel. 97-21



I. L. PEREC

Sz. AN-SKI.

# I. L. Perec.

Nie przypominam sobie dokładnie kiedy i w jakich okolicznościach usłyszałem po raz pierwszy nazwisko Pereca, nie wiem też, kiedy przeczytałem pierwszy jego utwór. Lecz pamiętam, a jeśli się nie mylę, w pierwszej połowie lat 90-tych, przeczytałem w zbiorowem wydawnictwie p. n. „Literatura i życie“ nowelę Pereca: „W piwnicznej izbie“ i że wywarła na mnie bardzo silne wrażenie. Byłem zdumiony, żem znalazł tak prawdziwie literacką (w europejskiem znaczeniu) rzecz w ubogiem wydawnictwie i po żydowsku.

Nie byłem, broń Boże, przeciwnikiem języka żydowskiego; nie uważałem go za nieliteracki, gorszy. Przeciwnie. Gdybym znalazł wówczas grono zorganizowanych zwolenników tego języka, przystałbym do nich z pewnością. Zdumienie moje spowodowane było poprostu tem, że nie spo-

dziewałem się spotkać tak wartościowego utworu, napisanego po żydowsku. Czytałem już w owym czasie coprawda wiele ładnych, z talentom napisanych rzeczy w tym języku: „Di Klacze“ Mendele Mojcher Sforim'a, Szolem Alejchem'a—„Stempeniu“, Dynesona—„Czarny Elegancik“, Lineckiego—„Polski chłopak“ i inne. Lecz tych wszystkich powieści i nowel nie traktowałem, jak prawdziwą literaturę. Ot, piękne i przedziwne opowieści, lecz żydowską literaturę wyobrażałem sobie tylko w postaci Szomera i Blosztejna. Ich jedynie uważałem za twórców, prawodawców i kierowników.

O kilka lat wcześniej w r. 1890, odwiedziłem w Kijowie Szolem-Alejchema, który wydawał już wówczas „Żydowską Bibljotekę Ludową“. Opowiedział mi o swoich planach literackich i czytał ognisto-płomienny artykuł polemiczny przeciw „szomeryzmowi“, jako „kierunkowi“ literackiemu. Z całem zadowoleniem przysłuchiwałem się jego wywodom, zgadzałem się z Szołem-Aleichem'em, lecz głęboko w sercu ukrywało się przeświadczenie, że tu żadna polemika nic nie pomoże, i Szomer pozostanie jedynym „mistrzem“ żydowskiej literatury.

I oto ta maleńka nowela Pereca wywołała w mych poglądach zupełny przewrót. Odczułem nagle, iż kierownikami literatury żydowskiej zostali nowi ludzie i że dzięki nim zalicza się już ona do wielkiej rodziny literatury europejskiej.

W tym samym czasie nawiązałem z Perecem pierwszą listowną znajomość. Posłałem mu najpierw

szkic „Pism“, którą to rzecz wydrukował w „Kartkach Świątecznych“, a następnie duże opowiadanie. (Przekład jego ukazał się już przedtem po rosyjsku w miesięczniku „Woschod“). Perec przyrzekł je wydrukować, lecz nie pamiętam z jakich to powodów nie dotrzymał słowa, a nawet nie zwrócił mi manuskryptu. Pisałem do niego kilkakrotnie, lecz nie nadesłał odpowiedzi. Pamiętam, że byłem tem oburzony—i z tego to powodu przerwała się na czas dłuższy nasza znajomość.

Wyjechałem do Paryża, znalazłem się w nowem środowisku, interesowałem się sprawami bardzo odległemi od literatury żydowskiej. Lecz z rosyjskiemi żydami z Paryża, ze studentami, robotnikami i emigrantami, pozostawałem przez cały czas w bliskich stosunkach.

Zaznajomiłem się i zaprzyjaźniłem z Borelem, młodzieńcem rodem z Wilna, który niedawno wyemigrował do Francji. Pewnego razu podczas jakiejś dyskusji zwraca się on do mnie z uśmiechem.

— Mam dla pana podarek.

I podaje mi książkę.

Otwieram — „Dzieła Wszystkie“ Pereca — wydanie jubileuszowe.

Na karcie tytułowej — wiersz hebrajski napisany przez Borela i zaczynający się, podług starego, utartego zwyczaju, od słów: „Na imię Ci Salomon“.

Niezwykłość podarunku zdumiła mię. Żydowska książka, a do tego jeszcze Pereca i wiersz he-

brajski, wywołały wspomnienia dalekiego i cichego domu rodzinnego.

Mój ofiarodawca nie poprzestał na tem. Ujął mię delikatnie za rękę i z zadowoleniem smakosza, przygotowującego się do uczty, powiedział:

— Ot, dajże Pan na chwilę spokój debatom, chodźmy lepiej czytać Pereca.

Zaprowadził mię do siebie i nie przestając się cicho i radośnie uśmiechać, zaczął czytać „Opowiadania". Gdy skończył jedno, spoglądał na mnie rozpromieniony.

— „A co"? — mówił i zaczynał drugie.

Takeśmy przesiedzieli do późnej nocy. Byłem oszołomiony i oczarowany. Teraz dopiero zrozumiałem Pereca i pojąłem jego wielkość. Stał mi się bliższy i drogi jak cząstka mej duszy.

Było to około r. 1901. Czasy się zmieniły.

Zagraniczne kolonje emigrantów żydowskich przyjmowały coraz bardziej nacjonalistyczny charakter. Wpływ Pereca wzrastał ciągle. Nikt, nawet najzagorzalszy socjal-demokrata, nie mógł go niedoceniać. Perec — było argumentem, sztandarem. Za pośrednictwem dzieł jego zaznajamiała się młodzież z ludem i duchem żydowskim, dzięki niemu zasymilowani chłopcy i dziewczęta, czytywali po żydowsku. Rzadko który wieczór literacki, bądź to sjonistyczny, bądź bundowski (obie partje uważały go za „swojego") obywał się bez czytania utworów Pereca. Najciekawsze były prelekcje o nim wygłaszane przez Chaima Zytłowskiego.

W roku 1906 wróciłem do Rosji. Lecz minęło jeszcze kilka lat zanim poznałem go osobiście. Zaznajomiliśmy się, jeśli się nie mylę, w roku 1908 lub 1909, gdy zaproszony na grupę radykalną na odczyt, przyjechał Perec po raz pierwszy do Petersburga. Spotkaliśmy się w sali odczytowej, kilka minut przed rozpoczęciem jego przemówienia. Objęliśmy się i ucałowali, jak starzy znajomi.

Już wcześniej widziałem portret Pereca, lecz byłbym go nie poznał. Niewysoki, barczysty, miał piękną, o wysokiem czole głowę, wesoły, energiczny wyraz twarzy i mądre, błyszczące oczy. Pomyślałem, że, spotkawszy go na ulicy, nie wziąłbym go za żyda. Typowa, żydowska twarz, a jeszcze bardziej — oczy, lecz głowa wysoko podniesiona, ruchy swobodne, na twarzy wyraz dumy i spokojnej pewności siebie. W całej postaci żadnego piętna golusu! Tak pewnym siebie i pozbawionym śladów dawnej niewoli nie był żaden ze spotykanych przezemnie zasymilowanych żydów petersburskich.

Na odczycie zdarzył się incydent charakterystyczny zarówno dla Pereca, jak i dla ówczesnej żydowskiej młodzieży petersburskiej.

Sala rozumie się, była przepełniona, lecz większa część składała się z ludzi, którzy przyszli nie posłuchać, lecz zobaczyć Pereca. Nie brak było osób, nieumiejących po żydowsku wcale, albo też bardzo niewiele.

Perec po mistrzowsku czytał swe utwory, lecz nie był wogóle odpowiednim prelegentem dla

liczniejszego zgromadzenia. Był za szlachetny i prosty, a czytanie jego przystosowane do szczupłego grona bliskich znajomych, nie mogło się podobać tak tłumnie zebranej publiczności. Miał słaby głos, intonację niezbyt mocną, a na dobitkę jego polska gwara obco brzmiała dla uszu litewskiej publiczności i czyniła niektóre słowa niezrozumiałemi.

Siedzący w pierwszych trzech lub czterech rzędach słyszeli dość dobrze, lecz mało co rozumieli; do reszty audytorjum dochodziły tylko pojedyńcze, bez związku, słowa.

W ciągu pierwszych dziesięciu minut było cicho. Później zaczęto się na sali poruszać, rozmawiać dyskretnie między sobą, wychodzić potrochu, z początku pojedyńczo, później coraz odważniej, tłumniej, tak, że zanim Perec skończył, pozostało na przepełnionej poprzednio sali, niewiele tylko osób; z sąsiedniego pokoju dochodził za to gwar głośno prowadzonych rozmów.

Podczas przerwy przykro mi było podejść do Pereca. Wstydziłem się postępowania publiczności i czułem głęboki żal, że świąteczny nastrój został zakłócony.

Perec zauważył mię zdaleka. Przedostał się przez ciżbę i z wesołym, swawolnym uśmiechem, tonem zwycięzcy, powiedział:

— Kto jeszcze zdołałby równie szybko wypędzić z sali taką czeredę? To przecież nielada sztuka!

Widziałem, że uśmiech jego nie jest sztuczny. Perec był naprawdę zadowolony, że w Peter-

sburgu, którego niecierpiał, przyjęto, go jak przystało na gburów.

Po przerwie powinien był Perec wystąpić na nowo.

—Co mam czytać?—pytał „swoich ludzi“, którzy go otoczyli,

Jeden radził czytać „Sztrajmł“, inny „Boncie Szwajg“, jeszcze inny „Wędrówkę pieśni“.

Perec przecząco potrząsał głową: żadna z tych rzeczy nie odpowiadała w tej chwili jego nastrojowi.

Pomyślał chwilę, potem wziął mię na stronę.

— Gdzie pan siedzi? Czy daleko odemnie? Niech pan powie przewodniczącej, żeby dała panu miejsce w pierwszym rzędzie, chcę pana widzieć.

— Poco?

— Akurat naprzeciw mnie siedzi jakaś szkarada i ziewa bezustanku. Denerwuje mnie.

I dodaje z przekornym uśmiechem.

— Wie pan, co zrobię? Nie będę nic czytał. Pan usiądzie naprzeciw mnie, a ja opowiem panu historję; będę improwizował.

Wziąłem to za żart. Lecz Perec dotrzymał słowa. Gdy miał zacząć, zwrócił się w moją stronę, pochylił nieco ku mnie i zaczął spokojnie mówić, jakby oprócz nas, nikogo nie było na sali. Opowiadał o promieniu, który zapatrzył się tęsknie na ziemię i nie zauważył, że słońce zaszło i zatrzaśnięto bramy niebios. Nie wolno mu już nigdy wrócić do swego schronienia! Probuje więc zejść na

ziemię, lecz i to mu się nie udaje, gdyż nie może się oderwać od nieba.

Od tego zaczęło się opowiadanie o promieniu. Była to przepiękna alegorja. Lecz usłyszeć ją zdołało zaledwie 10 osób z pomiędzy 300-400, które znajdowały się na sali.

Zebrani nie wiedzieli początkowo, czy Perec czyta, czy rozmawia z kimś, kto siedzi naprzeciwko. Wreszcie znów się na sali zaczęto poruszać, rozmawiać po cichu i powoli rozchodzić do domu...

---

Chasydzi opowiadają o rabinie Izraelu z Różan następującą historję. Kilku jego chasydów pojechało na Jom-Kipur i Nowy-Rok do rabina z Opatowa. Gdy na Kuczki przyjechali do Różan, zapytał ich rabin Izrael, co ciekawego widzieli u rabina z Opatowa. Chasydzi przelękli się i odpowiedzieli, że boją się mówić o tem, co się tam działo.

— No czo, czo? — nalegał reb Izrael (wymawiał wadliwie niektóre zgłoski).

— Rabin z Opatowa przyszedł do bóżnicy na poranną modlitwę w Jom-Kipur z mokremi pejsami!! — wykrztusił nakoniec jeden z chasydów.

To znaczy, że rabin z Opatowa kąpał się, czego w ten dzień czynić niewolno.

Chasyd był pewien, że reb Izrael podskoczy ze zgrozy. Lecz omylił się. Zamiast tego zawołał on zachwycony:

— Ach! jak zazdroszczę temu wielkiemu chasydowi. On robi, czo chcze, czo chcze!!

Perecowi także można było zazdrościć, robił bowiem „co chciał".

Jego zachowanie na odczycie nie było rzeczą przypadku: robił często, „co chciał", nie licząc się z nikim i niczem.

---

Po raz drugi przyjechał Perec do Petersburga, gdy tworzył teatr żydowski, na który to cel spodziewał się zebrać tutaj 15 tysięcy rubli. Na bankiecie, urządzonym przez petersburską inteligencję w celu uczczenia jego osoby, wystąpił Perec z ostrym, gniewnym protestem przeciwko tym, którzy wygłaszali swe przemówienia nie pożydowsku. Wielu uczestników bankietu obraziło się i cały plan zbiórki pieniędzy rozpadł się z tej przyczyny.

Perec „robił co chciał", ale zawsze wiedział, co „chce". I to, co się zdala wydawać mogło dziwactwem, było zawsze rzeczą głęboko przemyślaną.

Dumna i prosta dusza Pereca odniosła kilka bolesnych ran. Od pierwszego swego wystąpienia czuł się Perec głęboko zraniony i dotknięty, jako żyd, jako pisarz narodowy i jako twórca w języku żydowskim. Odczuwał otaczającą go atmosferę nienawiści, lekceważenia i pogardy bądź to ze strony nieżydowskiej ludności, bądź asymilatorów, bądź

wreszcie inteligencji hebraistycznej. Pomimo, iż był szlachetniejszy i bardziej kulturalny niż polscy arystokraci, miał większe wykształcenie niż zasymilowani żydzi; pomimo, iż literaturę hebrajską pojmował głębiej może niż najżarliwsi hebraiści — odpowiadał Perec na nienawiść i lekceważenie, które towarzyszyły słowu „żyd", żydowskiej literaturze i żydowskiej mowie, — większą jeszcze nienawiścią i większą pogardą. Odczuwał prawdziwe zadowolenie, jeśli mógł odciąć się ostro zasymilowanemu żydowi.

W tem, że Perec „robił, co chciał' tkwiła inna przyczyna, znacznie głębsza, biorąca początek w najważniejszym rysie charakteru Pereca: jego fanatycznym kulcie dla prawdy.

Był on poprostu przepojony dążeniem do niej, nie potrafił słowem, spojrzeniem lub grymasem nie wyrazić tego, co wiedział i myślał w danej chwili i nie znosił poprostu organicznie kłamcy lub fałszywego człowieka. O takich ludziach zwykł się wyrażać bez nienawiści, lecz z głęboką pogardą. Z prostotą dawnych „wybranych" wypowiadał każdemu swobodnie, w oczy — prawdę, choćby najostrzejszą i najbardziej przykrą. Dlatego to miał tylu nieprzyjaciół, lecz bali się go oni więcej, niż nienawidzili. Obawiano się go, jak surowego sędziego, który czyta w sercu.

Kult prawdy przywiódł go do nieuznawania wielu przyjętych zwyczajów i ceremonij, religijnych i kulturalnych, które uważa się za nieodzowne

w świecie burżuazyjnym. Nie obchodziło go wcale „co ludzie powiedzą“. W każdym etykietalnym czynie, mówił, w każdym zwyczaju ukrywa się kłamstwo. Bo czyż człowiek żywy i ze zdrowemi zmysłami wyrażać może swoje uczucia i myśli w formach zakrzepłych już i bezdusznych od szeregu pokoleń?

Charakterystycznem jest to, że Perec, wielki piewca starej tradycji, który tak głęboko odczuwał i rozumiał jej poezję i piękność w życiu ludzi prostych i naiwnie wierzących—sam, prawie demonstracyjne, nie przestrzegał wszelkich zwyczajów, które się nie zgadzały z jego poglądami. Największy piewca chasydzkiej legendy nie lubił, nienawidził prawie „cudotwórców“, gdyż uważał ich za oszustów.

Perec nosił w sobie żywe źródło twórczości, które tryskało bezustanku, gwałtownie wysoko. Nie znał zmęczenia, pracował i tworzył wiecznie niestrudzony, dążył i rwał się coraz wyżej i wyżej, próbował odważnie nowych form i nowych dróg.

Nowe formy jego twórczości toczyły wieczną walkę z dawnemi, które przeżyły się zdaniem jego i zatraciły swą istotną treść.

Pragnienie gorącego, intensywnego życia i chęć, by wszystko dokoła było twórcze i ruchliwe, kwitło i radowało się życiem, doprowadziły Pereca do tego, że staczał boje z jedynem narzędziem twórcy-literata—ze słowem. Ubolewał, że musi posługiwać się słowami, które zostały stworzone setki lat

temu, a teraz są już martwe i bezduszne. Stąd wzięło się szukanie nowych wyrażeń, zwięzłość stylu i głęboka tęsknota za idealną melodją, którą możnaby śpiewać bez słów, a nawet bez głosu.

Perec starał się zawsze o muzykalne wyrażanie myśli i uczuć. Nie napróżno mówi się w większej części jego utworów o muzyce i śpiewie.

Ale bardziej jeszcze od bezdusznej tradycji i słów nie znosił Perec stępiałych ludzi, zadowolonych i spokojnych. Takich nie cierpiał więcej może od kłamców.

Ci, którzy mało znali lub rozumieli Pereca uważali go za człowieka zadowolonego z siebie i swoich utworów. Perec niejednokrotnie dostarczał materjału do takiego sądu przez pewność siebie oraz przez lekceważenie dla oceny krytycznej dzieł swoich, którym sam przypisywał niekiedy wielką wartość.

Pewnego razu, gdym przyszedł do niego powiedział:

— Czy chce pan usłyszeć genjalną rzecz? i zabrał się do czytania swego dramatu: „W nocy na starym rynku". utworu ultra-symbolicznego, którego nie zrozumiałem prawie wcale, pomimo obszernego wstępu, jakim poprzedził czytanie.

Gdy skończył wypowiedziałem swoje zdanie:

— Pod względem niejasności jest to pewnego rodzaju druga część „Fausta".

— Druga część „Fausta" — powtarza Perec zdziwiony — Powiedz pan — piąta część!

Był to, rozumie się, jeden ze zwykłych żartów Pereca. Jak surowy sąd stosował do swych dzieł, świadczy, choćby to, że bardzo wiele razy przerabiał je i przepisywał. Jeden ze swych najlepszych dramatów „Złoty łańcuch“ przerobił z dziesięć razy, a ostatnie swoje dzieło, tłumaczenie „Koheleth“ przerobił i przepisał sześćdziesiąt siedm razy!!

---

Wkrótce po zawarciu pierwszej znajomości z Perecem przyjechałem do Warszawy, gdzie mogłem przyjrzeć się mu w codziennem życiu, w jego zwykłem otoczeniu.

W ostatnich latach nacjonalistycznie nastrojona inteligencja żydowska starała się nadać swym mieszkaniom charakter narodowy i urządzała je w stylu żydowskim. Na scianach wisiały kopje żydowskich o razów, wszędzie prawie jednakowe („złe czasy“, „Golus“ i t. p.), na stołach leżały różne wyroby z Becalelu.

W mieszkaniu Pereca nie znalazłem ani jednego z wyżej wspomnianych, pospolitych obrazów, a jednak nosiło ono piętno wybitnie żydowskie.

Na każdej ścianie, w każdym kąciku: obrazy, sztychy, rzeźby i wiele różnych rzeczy ze sztuki żydowskiej. Między niemi artystyczne adresy, stare antyki — wspaniałe dary jubileuszowe. Wszystkie przedmioty nowej sztuki były oryginałami, pracami

artystów żydowskich, z którymi Perec pozostawał w bliższych stosunkach i kierował ich pierwszemi krokami na niwie artystycznej

Dość było jednego rzutu oka na mieszkanie, żeby spostrzec, iż przebywa tu człowiek, znajdujący się w centrum nowej kultury żydowskiej, która płynąc szybko, pozostawia tutaj po sobie trwałe ślady.

W Warszawie zaznajomiłem się osobiście z Jakóbem Dynesonem, z którym korespondowałem już wcześniej. Spotkałem go w domu Pereca, a może też Perec zaprowadził mię do niego—i od tego czasu, prawie zawsze, spotykałem ich razem. Im bliżej się z nimi zaznajamiałem, tem silniej odczuwałem ich serdeczną przyjażń, aż stali się najpierw w myślach moich, a póżniej i w mem sercu nierozłączni. Nie mogłem sobie wyobrazić każdego z oddzielna.

Istnieje ludowe przysłowie o najwyższej formie przyjażni: „Jedna dusza w dwóch ciałach". O Perecu i Dynesonie możnaby te same słowa, lecz nieco inaczej, powtórzyć: „Dwie dusze w jednem ciele". Trudniej sobie bowiem wyobrazić dwa bardziej różniące się od siebie charaktery, dwie indywidualności tak do siebie niepodobne, jak tych dwóch przyjaciół, równie serdecznie przywiązanych i nierozłącznych przez wiele lat.

Perec ze swojemi błyszczącemi, dziwnie mądremi oczami, ze swoim płomiennym i olśniewającym darem wymowy, wywoływał we mnie zawsze

wrażenie wielkiego, drogiego, starannie oszlifowanego brylantu; człowiek ten był jak brylant czysty i szlachetny, jak brylant świecił każdym oszlifowawanym kantem, jak brylant był wytrwały w swych sądach i jak brylant ostro ciął tych, którzy zagradzali mu drogę ku wielkiemu celowi. Dyneson ze swym cichym spokojem, ze swem miłem spojrzeniem, które promieniowało nieskończoną dobrocią, delikatnością i ofiarnością, ze swą wieczną gotowością całkowitego oddania się drugiemu; Dyneson, który nie potrafił dotknąć kogoś ostrem słowem lub sprawić mu najmniejszą przykrość, był w wielu wypadkach przeciwieństwem gwałtownego, łatwo zapalającego się Pereca, a obaj przyjaciele stanowili jakby jedną istotę. Nie było żadnej rzeczy, żadnego planu literackiego, żadnego czynu, zamiaru jednego, o którym nie wiedziałby drugi. Obaj żyli tem samem życiem, temi samemi sprawami, te same mieli troski i radości. W mieszkaniu Pereca był Dyneson na równych prawach z gospodarzem domu. Wiedział, gdzie leży każdy papierek i zwykł był, nie pytając Pereca, odpowiadać na adresowane do ostatniego listy.

— Panie Perec, dlaczego nie odpowiedział mi pan na mój list? zapytałem go pewnego razu.

Byłem pewny, że Dyneson odpisał panu.

Co odpisał? to rozumie się, Dyneson powinien był wiedzieć równie dobrze jak on sam.

Ich zbliżenie przerosło już nawet stopień przyjaźni. Tak bliski związek można niekiedy spotkać

u małżonków, którzy przeżywszy ze sobą z pół wieku w miłości i wierności, zatracają, jedno w stosunku do drugiego, granice własnego „ja“.

A prócz Dynesona - nikt więcej! Nie miał Perec obok siebie żadnego bliskiego człowieka. Był niezwykle osamotniony, mimo, iż stał w samem centrum poszukującej nowych dróg twórczych literatury, a nawet prawie całej kultury żydowskiej. Było to wielką tragedją tego mocarza.

Chociaż był Perec przewodnikiem wielu pokoleń żydowskich pisarzy i czuł całą odpowiedzialność zajmowanego przez siebie stanowiska, nie posiadał jednakże stałego otoczenia, ani trwałego oparcia. Wszystko wówczas znajdowało się w stanie chaosu, było niedojrzałe, niezorganizowane, łatwe do zniszczenia i zaniku. Perec sam musiał zabiegać o wszystko. Musiał się ciągle odrywać od swej artystycznej pracy i występować już to jako publicysta, krytyk lub popularyzator, już to redagować i wydawac jakieś miesięczniki, tygodniki, almanachy, wygłaszać odczyty i t. d. Lecz najwięcej czasu poświęcał młodym pisarzom. Wychowywał, nauczał całe pokolenia literackie. Prawie wszyscy pisarze, których imię cenione jest dzisiaj, przeszli jego szkołę i zawdzięczają mu swoje literackie wykształcenie.

Ostry i surowy dla setek i tysięcy młodzieńców, zasypujących go bezwartościowemi gryzmołami, uprzejmy był i serdeczny dla tych, u których zauważył iskrę talentu. Im to oddawał swój czas, pracę i kierował ich pierwszemi krokami.

Śmierć Pereca osierociła nietylko literaturę żydowską, lecz cale wogóle pokolenie żydowskich pisarzy.

Po pierwszym przyjeździe do Warszawy, kilkakrotnie jeszcze odwiedzałem to miasto; Perec także ze dwa lub trzy razy przyjeżdżał do Petersburga, a każde spotkanie zacieśniało naszą przyjaźń. Lecz największe zbliżenie między nami nastąpiło przed trzema lub czteroma laty, kiedym zorganizował żydowską wycieczkę etnograficzną. Objeżdżałem miasteczka i osady, zbierając wszędzie opowiadania, legendy, pieśni i przeróżne melodje. Perec i Dyneson byli zachwyceni tem przedsięwzięciem. Za każdym razem, kiedym przyjeżdżał do Warszawy, „sadzał" mię Perec i kazał opowiadać chasydzkie opowieści.

Musiałem często godzinami snuć jedną historję po drugiej. On słuchał i nie mógł się nasycić. Przy tej okazji miałem sposobność przyjrzeć się, jak odbywa się twórcza praca Pereca.

Przyswajał sobie odrazu moje opowiadanie, wyrzucał z niego części, dodawał nowe, wiązał z tematami innych opowiadań. Nie zdołałem jeszcze skończyć mej historji, a już Perec zaczynał opowiadać tę samą rzecz, przerobioną odrazu na „ludową opowieść" i różniącą się tak bardzo od swego pierwowzoru, jak brylant od szkiełka. Nazajutrz było już takie opowiadanie spisane, a po kilku dniach znajdowałem je wydrukowane z napisem: „An-skiemu — zbieraczowi".

Perec i Dyneson tak byli zainteresowani tą wycieczką, że obaj postanowili wziąć w niej czynny udział i przez kilka tygodni jeździć ze mną po miasteczkach. Przed dwoma laty, gdy obaj przyjaciele gościli na letnisku pana B. A. Kleckina, pisywaliśmy do siebie w tej sprawie. Czekałem już na nich, lecz otrzymałem telegram, że jakieś okoliczności (zdaje się zły stan zdrowia) uniemożliwiają im wyjazd.

---

Poraz ostatni widziałem Pereca w końcu ubiegłego roku, w listopadzie i grudniu, podczas mego dwumiesięcznego pobytu w Warszawie. Przez kilka tygodni mieszkałem wówczas w jego domu.

Czasy były okropne. Po gwałtownem najściu Niemców w listopadzie, spodziewała się Warszawa jeszcze cięższych przejść. Nieprzyjaciel podchodził już pod Sochaczew i Bolimów.

W Warszawie słychać było wyraźnie dalekie odgłosy wystrzałów armatnich, nad miastem unosiły się aeroplany i rzucały bomby. Wszędzie pełno żołnierzy, ulice zapchane „obozami", wozami sanitarnemi i artylerją. Życie w mieście doszło do najwyższego napięcia nerwowego.

Dla nas żydów, wszystkie te niebezpieczeństwa powietrznej wojny ustąpiły na stronę, przed

straszliwem nieszczęściem, które spadło na mieszkańców okolicznych miast i miasteczek... Codziennie przybywały tysiące wypędzonych i uciekinierów, Przychodzili pieszo, nadzy, nieobuci, głodni, zmarznięci, przerażeni i bezradni. A dookoła wrzała i rosła nienawiść ludności polskiej do żydów, ekscesy, prześladowania i denuncjacje. Każdy dzień przynosił nowe okropności, nowe troski i prześladowania, a spodziewano się rzeczy jeszcze gorszych.

W takim to piekle żył Perec, którego wojna zniszczyła zupełnie materjalnie... Pracował na dobitkę w gminie żydowskiej, dokąd ciągnęły bezradnie całe tłumy bezdomnych.

Straszna katastrofa narodowa poderwała gwałtownie siły fizyczne Pereca, złamała go poprostu. Kiedym przyszedł do niego w połowie listopada, spostrzegłem natychmiast, że zaszła w nim straszna zmiana.

Perec nie lubił mówić o swoich dolegliwożciach i osłabieniu, nie poddawał się żadnym chorobom. Lecz teraz zdradził go wygląd: był ciągle zmęczony, smutny i niechętnie wychodził z domu.

Wystarczyło w nocy najlżejszego szmeru, żeby się zerwał ze snu, a potem nie mógł już usnąć i przez następny dzień czuł się zmęczony i chory.

Znacznie większe wrażenie wywarły na mnie zmiany w duchowym stanie Pereca. Ujrzałem teraz innego człowieka: złamanego, zdruzgotanego. Stracił pewność siebie. W oczach ukazał się zgoła inny wyraz: niepewność i pytanie, jakby żądał i szukał

odpowiedzi na potworne zbrodnie dziejące się dokoła.

Zmienił się jego stosunek do „żydowskiego Petersburga“, któremu przedtem nie przypisywał żadnego znaczenia. Uważał bowiem pracę jego za powierzchowną, wewnętrznie wcale nieżydowską. Teraz śledził uważnie za tem, co się robi w Petersburgu i wypowiadał swoją opinję o kierunku tej pracy.

Rozumie się, że cały swój czas i siły poświęcał Perec bezdomnym. Założył w „Hazomirze“ [1]), gdzie był przewodniczącym, schronisko dla 100 uchodźców i troszczył się o ich utrzymanie. Nie oszczędzając, jak zwykle, niczego, oddał na loterję fantową na bezdomnych wszystkie drogie i piękne dary, które otrzymał podczas swego jubileuszu lub od swych zwolenników.

Lecz cała praca i wszystkie ofiary nie uspokoiły go ani trochę. Jego zmęczone, chore serce krwawiło, a silny, wielki umysł szukał ciągle odpowiedzi na trapiące go pytanie. Kiedym po raz pierwszy przyszedł do niego, prowadziliśmy długą rozmowę o sytuacji ówczesnej. Po raz pierwszy usłyszałem od niego gorzkie słowa zniechęcenia do ludzkości.

A kiedym późno w nocy wrócił do jego domu, zastałem Pereca przy biurku z piórem w ręku. Nie podnosząc głowy powiedział do mnie:

---

1) Klub dla inteligencji żydowskiej w Warszawie, gdzie od 1914 r. ogniskuwało się żydowskie życie artystyczno-literackie.

— Siadaj, przeczytam ci mój przekład „Koheeth'u", pracuję nad nim w ciągu ostatnich miesięcy.

I czytał mi to swoje, według mego zdania, najmuzykalniejsze dzieło: s w o j e „Koheleth". Czułem, że złamany umysł Pereca nie przypadkowo zagłębia się w „Koheleth", gdzie jednocześnie z „marnością nad marnościami" znajdują się i wieczne, prawdziwe słowa: „pokolenie za pokoleniem mija, tylko świat jest wieczny". Czułem, że w tej filozofji szuka odpowiedzi na swoje straszliwe pytanie, trapiące go bezustanku.

Zapytałem go umyślnie, czy ma zamiar przełożyć „Psalmy Jeremjasza". Skrzywił się tylko.

— Nie. Skarga bez wizji i myśli o przyszłości...

Następnego dnia powiedział:

— Jestem bardzo zadowolony, żeś przyjechał. Oderwiesz mię od zajęć; powinienem odpocząć przez kilka dni, żebym się znów mógł wziąć do roboty.

I znów po kilku dniach:

— Omyliłem się. Zdawało mi sie, że chcę na krótki czas tylko przerwać pracę, lecz okazało się, żem wogóle stracił do niej zapał i zainteresowanie, Nie to...

Następnego dnia przeczytał mi opowiadanie „p. t.: „Neilah w piekle"[1]). Kiedy doszedł do miejsca, gdy chazen[2]) uwalnia swą pieśnią wszystkich

---

1) Neilah — modlitwa przedwieczorna w Jom-Kipur (Sądny-dzień), przed zamknięciem niebios.

2) Śpiewak w bóżnicy.

grzeszników z piekła, lecz sam w niem pozostaje, zatrzymał się nagle.

— A jak skończyć to opowiadanie?

— Nie wiem.

— Ja też nie wiem.

I nie skończył go właśnie.

Drugiego dnia kazał mi Perec pòjść do „Hazomiru“ odwiedzić bezdomnych.

— Nie są oni ciekawi—powiedział ze smutkiem—ot, zwykli biedni żydzi, którzy chcą jeść i proszą o jałmużnę. Godny uwagi jest tylko człowiek, który się im całkowicie poświęcił, L — E. Niezwykły typ, przyjrzyj mu się. Ciekawe są także dzieci, do nich zwykle chodzę.

W ten to sposób przerzucał się złamany umysł Pereca od starożytnego, wiecznego „Koheleth“ do żywej nadziei narodu—dzieci, i tworzył sny o uratowaniu ludzkości od ognia piekielnego. Możliwem jest, że potężny umysł tego wielkiego człowieka, znalazł odpowiedż na straszny problemat żydowskiego życia i pozbył się niepewności, lecz chore, osłabione serce nie wytrzymało.

I Perec nas opuścił.

Pozostawił wielki, nieśmiertelny spadek. Lecz najpiękniejszy, najszlachetniejszy poemat — Pereca samego — straciliśmy bezpowrotnie.

▪▪▪▪▪▪▪▪▪▪▪▪

# CHORY CHŁOPIEC.

## CHORY CHŁOPIEC.

Mamo, powierzę Ci tajemnicę, tylko ojcu nie powiedz o niczem!

Pytasz—czemu? Ponieważ ojciec mniej od ciebie mię kocha...

Nie, mamusiu, grzeszę, mówiąc te słowa. Nie kocha mnie mniej, lecz inaczej niż ty! On jest ojcem, musi być surowszy...

Ojciec ma długą brodę; jego twarzy nie można głaskać, jak twoje atłasowe policzki... A oczy ma on zupełnie inne, spojrzenie takie surowe! Ty, kiedy spojrzysz na mnie, masz takie uśmiechnięte, a przytem wilgotne — — — masz takie dobre i serdecznie litościwe oczy... Ty jesteś matką i przyjacielem zarazem... Przed tobą nie mogę mieć tajemnicy. Spojrzeniem swem wydobywasz wyznania z mej duszy...

Ojciec spogląda zgoła inaczej: surowiej, poważniej, jakby chłodno...

Nie mamusiu, to są zupełnie, zupełnie inne oczy!

Kiedym był maleńki, mniej się obawiałem ojca. Pamiętam, żem siadał niekiedy na jego kolanach, targałem go za włosy, rozwichrzałem i czesałem brodę, odchylałem wargi, a gdy chciał spojrzec na mnie surowo, podnosiłem mu brwi i zamykałem mu oczy...

Słyszysz mamusiu, kiedym leżał chory, obudziłem się nagle, a wy oboje staliście pochyleni nademną... Tyś płakała cichutko, serdecznie... a ojciec... Ach, mamusiu! Twarz ojca była taka straszna... Zrozumiałem, że gniewa się na Boga, i ze strachu przymknąłem powieki.

Od owego czasu nie mogę już z ojcem bawić się jak niegdyś... Coś mię powstrzymuje... Niekiedy serce moje chciałoby wyskoczyć, chciałbym pobiec do niego, lecz nie mogę!

Myślisz chyba, ze mało go kocham... Broń Boże! Kocham go nawet bardzo! Co dzień, co minutę więcej... Gdy podchodzi do mnie, bije mi serce z radości, drży we mnie dusza.

— Może za chwilę obejmie i przytuli mię do serca...

Gdy ty podchodzisz, nie drżę wcale... Ty mnie zawsze i jednakowo lubisz... Masz ciągle czas dla mnie... Ty jesteś zawsze, zawsze moja... Ojciec ma tak wiele interesów...

Wiem, on chce żebym był bogaty!

* * *

Chcesz już wiedzieć, mateczko, co ta za tajemnica?

Wstydzę się.

Matki — mówisz — nie trzeba się wstydzić. Prawda... Jednak... Usiądź, mamusiu, na krzesełku, naprzeciw okna... ot tak, dobrze!

Ach, jak pięknie zachodzi słońce! Jak piękna jest twoja blada, szlachetna twarz, opromieniona jego czerwonemi blaskami!

Ach, mamusiu, jakaś ty ładna, jakie szlachetne są twoje rysy!

Zaczekaj... Teraz usiądę u twych stóp... Nie zaglądaj mi w twarz, gdy będę opowiadał... Usiądę na podnóżku i będę wyglądał przez okno...

Nie, i tak niedobrze! Będę się wstydził słońca. Widzisz, w dzień świeci ono tak radośnie, a przed wieczorem żegna się z nami tak smutno, że wstydzę się mówić o sobie...

Oprę głowę na twem ramieniu... Przymknę oczy, a ty połóż rękę na mojem czole...

Czy nie jest ci ciężko, mamusiu, trzymać mię na swej piersi?

Szesnaście lat ma już twe dziecko i taką małą, tak lekką ma głowę... A cała moja postać...

Nie wzdychaj, mateczko! Bóg mi nie poskąpił dobra... Dał mi mało sił fizycznych, obdarzył za to innemi skarbami... Dał mi ciebie, ojca... dał dni i noce z cudnemi snami... A dzisiaj—tajemnicę.

— Teraz nic już nie widzę... Z zamkniętemi oczami będę ci może mógł opowiedzieć... Sprobuję...

...Och, jak to trudno!

Zdawałoby się, że to nic — siatka z kilku przedziwnych promieni utkana, a jednak ciąży mi na sercu jak kamień... jak skała... Lecz nie jak zwykły kamień z ulicy lub z pola...

To drogocenny brylant... Błyszczy... promieniuje...

Leży głęboko w mem sercu i rozsiewa tyle słodyczy, tyle światła...

—Byle tylko nie zgasło, mamusiu!

... Tyle gaśnie, mateczko, tyle gaśnie!

---

Słyszysz mamusiu!

Nie. Czekaj! Tak poprostu podejść do rzeczy nię mogę... Lecz słuchaj tylko!

Czy pamiętasz mamusiu? Wczoraj dałaś mi trochę drobnych? Pamiętasz?

Nie, jeszcze nie wydałem, ale już mi brak... Brak mi dziesiątki!

Czym ją zgubił? Nie... Ty dajesz mi pieniędzy dla ubogich, dla biednych dzieci, które spotykam na przechadzce. Takich pieniędzy nie zgubię nigdy!

Czym je oddał komu? Zrozumiałe... Czy

biednemu? Nie wiem... Może tak, a może nie... Posłuchaj, ty mi chyba powiesz!

— I wczoraj słońce zachodziło pięknie... Może piękniej niż dzisiaj...

Tyś mię nauczyła patrzeć, a ja patrzę i widzę to, czego moi rówieśnicy nie dostrzegają... Dlatego to spaceruję zazwyczaj sam... Przechadzam się nad rzeką, za miastem tam, skąd je całe widać jak na dłoni.

Już wiesz gdzie...

Domy wznoszą się coraz wyżej i wyżej, jeden nad drugim, jeden nad drugim... Te, które stoją wznoszą sie nisko, chciałyby się wspiąć jaknajwyżej, prześcignąć inne, rozejrzeć się po bożym świecie, a słońce, zachodząc spogląda na nie, wysyła im ostatnie błyski... i całuje... żegna je.

I widzę cichutko za promieniami pomykające cienie. Kładą się coraz gęściej i gęściej, zapełniają wszystkie szpary między domami, wszystkie wolne miejsca między murami; podnoszą się i wypędzają resztę różowego światła hen, w górę, w górę, z powrotem do nieba... Dalęjże! Uciekajcie promienie do swego domu, teraz nasza pora!... Dobranoc!...

I powoli zapada zmrok. Ciemnieje. Niebo staje się wciąż głebsze i głębsze... Za chwilę jedna po drugiej zapłoną gwiazdy...

Zapatrzony w te cuda doszedłem do Stolarskiej ulicy, która opada coraz niżej i niżej

w dół... aż do rzeki i kończy się niedaleko od wielkiej bóżnicy...

Podeszłem bliżej do jej starych murow.

W dzień wygląda strasznie... Biedna, odrapana, poczerniała... Szare pajęczyny osnuwają i przysłaniają litościwe powybijane okna... a nawprost, na szczycie góry, o wysmukłych, niebotycznych wieżycach, stoi klasztor i śmieje się...

O zmierzchu bóżnica wygląda zupełnie inaczej. Po raz pierwszy widziałem ją taką... Otulała ją leciutka, ciemno-błękitna mgła... Wybite okna nie były już ślepe... Patrzały głęboko i poważnie w świat... Zdawało się, że gzymsy, tam w górze, ożyły i się poruszają... Kilka lwów chce się oderwać od ściany... Za chwilę rozlegnie się ich ryk...

Myślisz, że t o jest tajemnica?

— O, nie, mateczko! To zobaczyłem dopiero teraz, potem dopiero, w c z o r a j s z e m i oczami.

— Och, mamusiu, gdybym był bogaty!...

— Cobym zrobił wówczas?

— Przebudowałbym bóżnicę!

Niech strzela w górę i dotyka chmur, niech będzie wysoka, bo stoi tak nisko! I złoty dach kazałbym zrobić i kryształowe szyby wprawić w okna!...

Wiem, mamo, że bez bóżnicy można się obejść, Bóg jest przecież wszędzie... Widzi on

każdą łzę, wszystkie błagalne spojrzenia, wysyłane ku niemu, słyszy westchnienia każdego cierpiącego serca!... Lecz jeśli się już buduje świątynię, to musi być wysoka, piękna, jaśnieć powagą i budzić szacunek!

Tak sobie wczoraj myślałem. Nagle usłyszałem płacz! Cichy, żałosny płacz... żałosny i słodki, a taki jakiś serdeczny...

Kiedy grasz, mateczko, wydobywasz niekiedy z pianina takie łkanie...

A ja myślałem — prawdę mówiąc, rozmyślnie się nie obejrzałem, żeby mi się jak najdłużej zdawało — że to płacze i narzeka coś z bóżnicy... Że tam wewnątrz, ukryta w niebieskawym płaszczu z mgły, siedzi dusza ubogiego budynku i płacze, żali się...

I skarży się że słońce ją omija... że sypie całe snopy jaskrawego, złotego światła na dach klasztoru, jej skąpi swych promieni... Wśród pięknego, jasnego dnia, rzuca jej, jak jałmużnę, zaledwie blady promyczek... A on ślizga się po jej powierzchni i znika zaraz jakby zawstydzony...

Była to mała dziewczynka... leżała na piasku, szukała czegoś i płakała...

Kiedym się obejrzał, ujrzałem tylko jej starą, obszarpaną sukienkę, która wyglądała jak ciemno-szara plama na żółtym piasku... i parę wykrzywionych trzewików!

— I jeszcze coś zobaczyłem...

Wstydzę się, mamusiu... Robi mi się tak gorąco... Wyobraź sobie falę czerwonych, płomiennych włosów... Iskry biły od nich...

— „Czemu płaczesz, dziewczynko, czego szukasz w piasku?...“

— Słyszysz, matka dała jej dziesiątkę, żeby coś kupiła, ale ktoś, przechodząc, wytrącił jej pieniążek z ręki i dziesiątka ugrzązła gdzieś w piasku... Dlatego płacze...

Ja, gdybym nie wiem co zgubił, nie musiałbym płakać...

— „Dużą czy białą dziesiątkę“? — pytam się jej.

-- „Białą“ — mówi i nie spojrzy nawet na mnie.

— „Pomogę ci szukać“ — mówię.

Pochylam się, udaję, że szukam i znajduję białą dziesiątkę.

— „Masz“.

Podskoczyła z radości. Żywym ruchem głowy odrzuciła w tył czerwoną falę włosów... Jak z pomiędzy chmur ukazała się nagle mała, alabastrowa twarzyczka i... oczy — mamusiu -- co za oczy...

Nie, mamusiu, tych oczu nie mogę ci opisać. Błyszczała w nich taka radość...

Przez całą noc śniły mi się te oczy... przez całą noc...

To jest, mamusiu, moja tajemnica.
— Uśmiechasz się?
— Nie śmiej się, mateczko, tych oczu nie żapomnę nigdy...

---

Mamusiu — — —
Czy wolno mi przechadzać się po Stolarskiej ulicy i patrzeć — — — na starą bóżnicę?

............

# RÓŻA.

# RÓŻA.

Wiosna. Zbliża się Wielkanoc i w Saskim ogrodzie zakwitną wkrótce róże.

— Czy lubi pani róże? Po uśmiechu poznaję, że tak! Ach, co za żywy blask zajaśniał w pani oczach! Proszę, bardzo proszę nie zasłaniać ich rzęsami. Słowo honoru! — nikomu nie zdradzę com w nich ujrzał. A że lubi pani róże, opowiem jej historję jednego kwiatu...

Była sobie róża.

Rosła w publicznym (może nawet w Saskim) ogrodzie, na kolczastym krzaku, na skraju trawnika.

W porze, gdy siostry jej dawno już przekwitły, była jeszcze maleńka i zielona. Miała wówczas silną anemję, jak zwykle podlotki i wstydziła się pokazać światu. Ukrywała się głęboko, głęboko między cierniami.

Jedynie w ciche noce wysuwała niekiedy swą główkę, rzucała okiem na siostry, na wszystkie romantyczne i szczęśliwe kwiaty, a z nich przenosiła wzrok na fioletowe niebo z cichą, lecz żałosną skar-

gą do Boga: dlaczego o niej tylko zapomniał, ją jedną pominął i samotną, s m u t n ą m ł o d o ś ć d a ł...

Nastrój ten nie trwa jednak długo; najlżejszy szelest przyprawia ją o śmiertelny strach i różyczka chowa się natychmiast głęboko w swem schronieniu. Raz zdaje się jej, że strzelają — to, gdzieś na wiwat pęka z hukiem kilka pąków. Innym znów razem słyszy jakieś ciężkie westchnienia — to dogorywa gdzieś w trawie zdeptany kwiat... Albo dochodzą nagle jej uszu jakieś nosowe i gardłowe dźwięki — to spóźniony karciarz wraca do domu, wyśpiewując chrapliwie jakąś melodję, a basowy głos jego rozlega się po całej alei...

Różyczka nie jest pewna, czy widzi i słyszy na jawie, czy też śni jej się to wszystko. Sądzi niekiedy, że to sen. Naprawdę — jest tylko zwykłym kolącym cierniem; różą bywa jedynie w sennem marzeniu. Oto za chwilę zerwie się ze snu — brzydka, zgięta, kłująca, pełna parzącego, trującego soku!...

* * *

Stan róży poprawił się z czasem. Lekarzem jej było gorące słońce i kilka kropel letniego dżdżu. Z dnia na dzień staje się zdrowsza i pełniejsza. Szlachetna, różana krew wypełnia jej żyły, z minuty na minutę kraśnieje i pięknieje, przybywa jej odwagi i pewności siebie. Im różowsza i zdrowsza staje się różyczka, tem wyżej wznosi swą głowę i tem pewniej i ciekawiej rozgląda się po świecie.

Nadeszła wreszcie pora rozkwitu. Róża jest już dojrzała, pełna pulsujących soków, spowita szkarłatem płatków. Teraz podnosi się jeszcze wyżej; śmiało i swobodnie ukazuje swą wspaniałą postać. Dumnie wznosi głowę ponad krzak, spoglądając na świat szeroko rozwartemi oczami.

* * *

Rozgląda się i staje zdumiona! Wszystkie jej siostry dawno już zniknęły. Ona jedna tylko pozostała w ogrodzie, sama jedna, jedyna! To przeraża ją i cieszy jednocześnie! Chociaż dawniej widziała wszystko, jak przez sen, rozumie jednak, co znaczy to zniknięcie. Siostry jej oderwały się od krzaka i poszły w świat, szukać szczęścia. Czem właściwie jest to „szczęście"—tego nie wie; czuje tylko, że jest ono gdzieś na świecie, lecz nie znajdzie go na krzaku. Żeby je odszukać trzeba, spoczywając na czyjejś piersi, przenieść się z biednego, kolczastego domu na swobodę, w świat!...

Przeraża ją to wyśnione szczęście i pociąga zarazem jak magnes... Przypomina sobie, że słyszała kiedyś śpiewnemi głosami toczoną rozmowę o szczęściu osobistem i uszczęśliwianiu innych... Ludzi widziała i słyszała niejednokrotnie ze swego ukrycia... cierpiących, smutnych, zgarbionych... lub też wesołych, szczęśliwych, z różami na piersi! Ci uśmiechali się, a twarze ich promieniały szczęściem! I ona pragnęłaby także rozpogodzić czyjeś

zachmurzone oblicze, chciałaby zapalić światło w zgaszonych źrenicach...

Pragnie się sama oderwać od krzaka i potoczyć ku alei, gdzie wkrótce zaczną spacerować ludzie... Lecz to „nie wypada". Róża wie, że porządek świata zabrania kwiatom odrywać się samym... Trzeba czekać... Tam, na piasku, nie zauważonoby jej może! Przejdzie stroskany kupiec, przebiegnie lichwiarz w pogoni za ofiarą lub uciekający przed prawem, albo tragarz, uginający się pod brzemieniem: nie pozna się na niej, nie zboczy z drogi... Pod takiemi nogami nie chciałaby zginąć! Musi więc pozostać na krzaku, chociaż taka samotna i smutna!

— Zaraz ludzie się zjawią, drży ze wzruszenia, i zabiorą mnie stąd. Wszak i siostry moje opuściły dom rodzinny!

* * *

Jest świeży, jasny poranek.—Oni się zaraz ukażą! Niebo jest takie błękitne, takie obiecujące, uśmiechnięte i dobre! Ten jasny dzień mego rozkwitu musi przynieść mi szczęście. Oni napewno przyjdą i jeden z nich... Jeden z nich ją uszczęśliwi!...

Podnosi się jeszcze wyżej i układa swą szkarłatną suknię, przecudnemi brylantami rosy usianą. Przechyla głowę lekko w bok. Sądzi, że tak wygląda powabniej i, że pozycja ta zbliża ją więcej ku wąskiej alei.

* * *

— Ktoś idzie!

Małe serduszko róży drży. Chciałaby się ukryć... Lecz chociaż nie widzi jeszcze przechodnia, przyciąga on ją już ku sobie jak magnes.

Róża jest za szlachetna i dumna, aby jej to uczucie wstydzić nie miało.

* * *

Z szarym parasolem zawieszonym na ręku, w olbrzymich kaloszach na nogach, w grubem, watowanem palcie, zapiętem na wszystkie guziki — zbliża się jakiś starszy jegomość. Spuchniętą twarz przewiązał białą chustką, w lewej ręce trzyma wysoki cylinder, w prawej mocną laskę, na której, podczas chodzenia, opiera się cała jego postać. Na łysej głowie niema ani włoska, na wąskim nosie garbatym i spiczastym — dwie pary binokli. Powoli, wlokąc nogę za nogę, posuwa się po alei.

Róża nie słyszała jego cichych kroczków i brak jej czasu, by się przed nim ukryć.

Stary pan zatrzymuje się przed krzakiem. Przysuwa powoli jedną nogę do drugiej, poprawia podwójne binokle na nosie i ogląda młodziutką istotę...

Krzywi pogardliwie usta; nie podoba mu się.

— Fi! swisnął przez sine wargi, a z ust jego wydobył się jakiś smrodliwy zapach i zaszumiało dokoła, jakgdyby chmura liści uniosła się w górę.

— Fi! Już nie dla mnie! Zanadto rozwinięta... Za stara! Mnie trzeba czegoś młodszego, świeższego, niedojrzałego jeszcze. Czegoś takiego...

Przykłada dwa palce do ust i chce zakończyć swawolnem gwizdnięciem, lecz z ust wydostaje się zaledwie syczenie gadu — — — Idzie dalej.

— Złam ręce i nogi! nie może się powstrzymać róża.

* * *

Oto zbliża się człowiek w średnim wieku, elegancko ubrany, trzymając na ramieniu płaszcz odwrócony do góry podszewką. Nosi modne skarpetki, widoczne z pantofli, odpiętą marynarkę, z pod której widać złoty (lub pozłacany) łańcuszek, niedbale opadający; na nim kołysze się dewizka, w kształcie głowy końskiej, otoczonej dużą podkową. Na srebrnej, cienkiej niteczce, przymocowanej do guzika, podryguje eleganckie pince-nez, na głowie ma myśliwski kapelusik z piórkiem, przechylony fantazyjnie na bok. Skoro przyjrzeć się twarzy, spostrzec można, że życie dawno już wycisnęło z niej świeże soki. Uwagę zwracają tylko zmęczone oczy, zaczerwienione i otoczone siną obwódką.

Spostrzegł różę natychmiast, ale nie zatrzymał się ani chwili.

Innej—myśli sobie—starczyłaby róża. Posłałbym kwiat, pokryty jeszcze świeżą rosą i pachnący bilecik z przebitem strzałą sercem. Pod niem napisałbym płomienny wiersz... Ona jednak żąda brylantów!...

* * *

Aleją kroczy młody mężczyzna ze spuszczonemi oczami.

— Ach! Nie spostrzeże mnie—lęka się róża.

Mężczyzna podchodzi bliżej. Takiego smutnego oblicza nie widziała jeszcze nigdy. Gorzki uśmiech błądzi po jego wąskich, bladych wargach... Młodzieńcze czoło pokrywa sieć zmarszczek. Na blade policzki dawno już nie padł promień wesela... Oczu jego nie może dostrzec, ale czuje, że muszą być błękitne i piękne jak niebiosa, lecz smutne zarazem jak niebo przed burzą.

— I żadna z moich sióstr — dziwi się róża — nie poświęciła życia dla niego?

Młody człowiek podnosi nagle oczy. Zgadła! Mogłoby się w nich uśmiechać niebo, teraz jednak jest morze cierpienia!

I on ją zauważył. Pociera ręką czoło, jakby sobie coś przypominał. Twarz jego blednie, a gorzki uśmiech, przedtem ledwie widoczny, staje się coraz boleśniejszy, aż zasnuwa mu oczy wyrazem głębszej jeszcze rozpaczy. Cała twarz kurczy się w cierpieniu! Załamuje ręce:

— Róża — szepcą jego wargi — róża! Gdy powiedziała mi „tak" miała różę przy staniku... lecz taki sam kwiat nosiła, kiedy mię zdradziła... taką samą różę!

— Ach, to głupie serce! — gniewa się młodzian na siebie, nie może wciąż jeszcze zapomnieć o niej i o różach...

— Naprzód! — mówi do siebie ostrym głosem, zmusza się do odejścia i znika w pobliskiej alei.

— O Boże! Boże! — skarży się róża — co uczyniły moje siostry!

Ona nigdy tak nie postąpi. Pozostanie wierna do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi. Tylko w zupełnem poświęceniu tkwi szczęście róży.

* * *

Zbliżają się dwie starsze panie; przechodząc oglądają krzaki: wszystkie są puste!

— Mają zapewne dorosłych synów — myśli róża.

— Ale dlaczego oni sami nie przyjdą? — Wydaje się jej to dziwne.

— Spóźniłyśmy się — mówi jedna.

— Widzę już — odpowiada druga — że tego roku nie będzie więcej róż!

Róża pragnie jednak, by ją spostrzegły. Porusza się lekko, a serduszko jej drga jeszcze litością dla tamtego.

— O! róża — mówi jedna.

— Widzę ją już—powiada druga. Wielka mi pociecha z jednej róży, jedna to tyle, co nic. Dla moich gości muszę mieć conajmniej pełen słój konfitur. Noc w noc wino i karty! Nie może więc tego też brakować.

— Ja muszę mieć — rzecze druga —conajmniej dzban soku...

Biedna róża dziękuje Opatrzności, że panie już ją minęły. Nie zastanawia się nawet w jaki to sposób wyciska się sok z róż, na jakim to ogniu smażą się konfitury... Poprostu starsze damy nie wzbudziły w niej sympatji; takie tłuste, nalane twarze!...

* * *

Na końcu alei zjawia się blady młodzieniec z długiemi, poetycznie rozwichrzonemi włosami. Oczy zatopione w niebie, jakby oba lazury zlać się z sobą pragnęły; na kształtnych ponsowych ustach — tęskna melodja wiosenna, na bladem, zaróżowionem od promieni słonecznych, obliczu rozlany wyraz poetycznego natchnienia.

Róża, jakby strzałą przebita, czuje w sercu dziwny ból.

Lecz jest on tak rozkoszny... tak szlachetny i słodki! Drży różane serduszko, szarpie się bezradnie, jak ptaszek w klatce. Chciałoby się wyrwać!

— To jest ten — szepce — o którym śniłam w długie noce bezsenne, ten, którego mi Bóg przeznaczył! Żeby mię tylko zauważył, byle mię tylko spostrzegł!

Jej gorąca modlitwa została wysłuchana. Spostrzegł!

Stanął oczarowany. Błękitne oczy rozszerzyły się, strzelił z nich gorący promień radości.

Podchodzi i dotyka jej delikatnie drżącemi palcami, muska lekko wargami jej królewskie płatki... usta piją z niej rosę... całuje ją...

— Och! ty piękna, niebiańska różo — coś w nim śpiewa z radości — ty słodki uśmiechu Stwórcy! Ty najcudniejszy promieniu jego oka! Jakżeś pociągająca! Jakże cię kocham!

Całuje ją po raz drugi... i wargi jego czują, że róża chciałaby przylgnąć do nich mocno... że drży cała i chce się oderwać od krzaka...

I on drży także! Lecz ponury cień zasępia nagle jego czoło. Odsuwa się.

— Nie — szepcą drżąco jego usta, podczas gdy siłą trzyma ręce przy sobie, jakby im nie dowierzał.

— Tego niewolno! Ja ci, za dobro złem nie odpłacę...

— Za prędko zwiędłabyś w mym wilgotnym pokoju... Uniesiony gniewem, możebym cię obraził, a później kulkę w głowę sobie posłał...

— O nie! Kwitnij nadal, kwitnij! Staniesz się królową wszystkich moich śnień... Będę wiecznie zasyłał ku tobie me modlitwy i westchnienia... lecz kwitnij dalej...

— Kwitnij!...

I odchodzi.

* *
*

Oniemiała z boleści róża zapada w omdlenie i nie spostrzega wcale, że po alei zatacza się pijany...

Kiwa się to tu, to tam, śpiewa coś pod nosem i pada wprost na różany krzak.

Gdy policjant go podniósł, krzak wyprostował się, lecz róży na nim nie było.

# W BŁOCIE.

## W BŁOCIE.

Było sobie błoto.

Stało na uboczu: odosobnione od reszty łąki (gdzie pasło się bydło i skąd mali pastusi ciskali kamienie), porosłe tatarakiem i kłującemi ostami, oddzielone od powietrza tłustą, błyszczącą powłoką, którą wiatr przerywał raz na rok. W błocie przebywały malutkie żyjątka, które (taki jest porządek świata) zjadały inne, jeszcze mniejsze od siebie.

Błoto było niezbyt długie, nieszerokie, a nawet wcale nie głębokie. Jedynie z powodu tłustego szlamu, roślin wodnych i wielu gnijących patyków, zagradzających drogę, nie mogły robaczki dosięgnąć dna, ani dopłynąć do brzegu.

Geografja błota jest jeszcze w zaraniu swego rozwoju. Lecz dumni mieszkańcy jego umieją patrzeć na wszystko otwartemi oczami. Pod ciemną powierzchnią błota, gra fantazja władców i ludu, snują się przedziwne opowieści i legendy.

Z czasem powstała godna robaków tradycja:

— Błoto jest wielkim oceanem.

— Wpadają do niego cztery rajskie rzeki... Jedna przynosi ze sobą złoto — to jest szlam, w którym tkwi dobrobyt ludu; druga sprowadza kwiaty — to jest rośliny wodne, w cieniu których ukryte baraszkują robaczki w dni powszednie; pozostałe rzeki obdarzają lud „perłami“, „muszlami“ i „koralami“ — t. j. zgniłemi patykami.

Zielona warstwa, pokrywająca błoto, podobna do zatłuszczonej jarmułki, to — niebo nad olbrzymim oceanem! Nowe dziwne niebo, jedynie dla tego świata stworzone!

Skorupki od jajek, które się tu zabłąkały, to — gwiazdy, a zgniłą dynię, mimo pewnej niechęci, uznano za słońce.

Kamienie, które zwykli ciskać do błota pastusi, to — zupełnie zrozumiałe — głazy, któremi Stwórca wymierza karę grzesznikom. A gdy niebo się rozwiera i kilka promieni prawdziwego słońca podrażni mózgi robaków, odczuwają one okrutne męki i zaczynają wierzyć w piekło.

Pomimo to, dobrze się żyło w błocie! Tu każdy był z siebie i innych zadowolony. Kto mieszka w oceanie, jest tem samem rybą! Robaki więc zwykły się przywoływać: panie karp! panie szczupak! Na pomnikach ryto zwykle napisy, zaczynające się od słów: Tu leży wielki

krokodyl lub lewiatan. „Płotka“ — było najbardziej obraźliwym przydomkiem, za przezwanie kogoś „kiełbikiem“ nie przebaczano sobie nawet w Jom-Kipur. Obok tego, kwitły, jak róże: astronomja, poezja i filozofja.

Uczeni liczyli skorupki od jajek i przekonali się, że jest ich bez liku.

Poeci romantyczni, w tysiącznych formach opiewali panujących; bohaterów narodowych przyrównywali do gwiazd, gwiazdy do oczu kobiet, kobiety do aniołów, lub, częściej nawet, do szatanów. Filozofja umieszczała dusze pobożnych nieboszczyków we wnętrzu zgniłej dyni...

Słowem — nic nie brakowało! Życie mieniło się wszystkiemi barwami tęczy! Ułożono wreszcie kodeks z tysiącami paragrafów i komentarzy do nich, powoli utrwaliły się tysiące obyczajów! A jeśli któremu z robaczków zachciało się reform, wystarczyło, żeby sobie przypomniał, co na to „świat“ powie — by się zarumienił i poczuł skruchę.

Lecz pewnego razu... nastąpił przewrót!

Przez błoto przeleciało stado świń!

Straszliwe nogi zdeptały niebo, stratowały kwiaty, rozgniotły szlam i korale i... z odosobnionego, zamkniętego w sobie „świata“ powstał chaos.

Niektóre robaczki spały głęboko pod szlamem (śpią one zazwyczaj bardzo długo) i dzię-

ki temu uniknęły śmierci. Gdy wydostały się ze swego schronienia, już niebo, na nowo sklepione, wisiało nad oceanem. Wszędzie leżały jednak gromady zgniecionych, zdeptanych i niepogrzebanych robaków, które śmiercią swoją świadczyły o spustoszeniu.

Co się tu stało? — pytają przerażone śpiochy i szukają żyjącego stworzenia, któreby im wytłumaczyło przyczynę straszliwego moru! Lecz niełatwo znaleźć żyjącą istotę! Niełatwo bowiem przeżyć zagładę niebios! Kto nie został zgnieciony, umarł ze strachu, lub zginął z ran; reszta sama pozbawiła się życia... Czem, bowiem, jest życie bez nieba!

Ktoś jednak pozostał przy życiu, lecz zaledwie wytłumaczył im, że niebo, wznoszące się nad ich głowami jest zupełnie nowe, że poprzednie niebo zdeptały zwierzęta — a zrozumiano natychmiast, że postradał zmysły.

Robaczek tłumaczył dalej, że wieczne może być tylko sklepienie, wznoszące się nad głowami wszystkich istot żyjących, lecz nie chciano go już słuchać.

Zakuto go w kajdany i, litując się nad nim, odprowadzono do szpitala warjatów.

............

# BOGOBOJNA KOTKA.

# BOGOBOJNA KOTKA.

Do pokoju przyniesiono trzy pięknie śpiewające ptaszki i wszystkie trzy, jednego po drugim, uprzątnęła kotka.

A wiedzieć trzeba, że nie była to zwykła kotka, lecz istota o prawdziwie i głęboko wierzącej duszy. Nie napróżno więc nosiła śnieżno - białą suknię i miała oczy, w których uśmiechało się niebo.

Była to pobożna kotka, bardzo czysta kotka. Myła się dziesięc razy na dzień, a jadała cichutko, na uboczu, w kąciku... zdala od oczu ludzkich...

W ciągu dnia przyjmowała tylko mleczną strawę, a dopiero o zmroku zaczynała jadać mięso, koszerne mysie mięso...

Do uczty szykowała się z godnością i spokojem, jak do ważnej czynności. Zwykła chwytać bez pośpiechu i nie połykać łapczywie, jak to czynią żarłoki. Łowiła w zupełnym spokoju i pogodzie ducha, z wdziękiem, jakby dla zabawy... — Niech sobie myszka jeszcze chwilę pożyje... Niech sobie trochę poskacze dokoła... Niech drży i zmawia pa-

cierze... Pobożna kotka pozwala ofierze oczyścić się z grzechów.

Gdy do pokoju przyniesiono pierwszego kanarka, odrazu zdjęła ją litość. Miły ptaszek chwycił ją za serce.

— Taki ładny — westchnęła — taka milutka, słodka ptaszyna!... A pomimo to nieznane jej będą dobrodziejstwa niebieskie!

— O! Napewno nie będzie zbawiona, kotka jest tego pewna.

Musi pokutować, chociażby za to, że myje się jakoś dziwacznie, po niemiecku. Zanurza się cała w pełnej misce wody! Czy tak się myć powinna skromna istota?

A powtóre, ptak zamknięty w klatce, jest już temsamem dzikiem stworzeniem i, chociaż to tylko mała, słaba istota... jednak więcej myśli o wolności, niż o świętej księdze praw Pańskich.

Bo choćby tylko to śpiewanie! To wyuzdane śpiewanie, to bezwstydne gwizdanie i patrzenie bez wszelkiej czci prosto w niebo! To wyrywanie się z klatki w grzeszny świat, do swobody, do otwartego okna...

Czy widział kto kiedy kota zamkniętego w klatce? Czy słyszał, by pobożna kotka ośmieliła się gwizdać?

— Szkoda! szkoda! — łka czułe serce w świątobliwej kotce. — Taka szlachetna dusza, stworzenie boskie!... Łzy napływają kotce do oczu.

Całe nieszczęście w tem, że grzeszne ciało

jest tak pociągające, a życie doczesne tak wesołe i tak wielka jest moc szatana...

Jakżeby mógł, ten mały, słodki ptaszek, przeciwstawić się straszliwemu kusicielowi?

Więc im dłużej żyje, tem więcej grzeszy i tem straszniejsza będzie kara...

Ha!

I świątobliwy ogień zapłonął w kocie, płomień, który ogarniał duszę arcykapłanów, potomków brata Mojżeszowego!

Kotka wskakuje na stół, gdzie stoi klatka z ptaszyną... i —

Po pokoju fruwają już piórka...

---

Kotce sprawiono cięgi... Zniosła je z pokorą... Zastękała pobożnie i bijąc się w pierś, miauczała psalmy pokutne.

— Już nie zgrzeszy więcej...

Mądra kotka rozumie za co ją obito... Nie! Nie zasłuży więcej na baty...

— Obili ją — myśli — bo zapierzyła pokój, a na białym, haftowanym obrusie pozostały ślady krwi...

Taki wyrok wykonać trzeba cicho i bogobojnie, żeby ani piórka, ani śladu krwi nie zostało.

A gdy kupiono drugiego kanarka i zostawiono w pokoju, udusiła go już cicho, składnie i połknęła wraz z pierzem.

---

Kotce dostało się porządnie.

Teraz dopiero domyśliła się, że nie chodzi tu o pióra, ani krople krwi na obrusie...

Zrozumiała, że nie wolno zabijać! że trzeba kochać bliżniego i przebaczać... że przez uśmiercanie grzeszników nie nawraca się złego świata. Trzeba skłaniać do czynienia dobra, strofować za złe czyny, do serca przemawiać...

Kanarek bowiem nowo-nawrócony, może się stać tak bogobojny, że gorliwością swoją prześcignie wszystkie wierzące i religijne koty!

I kotka czuje, że serce rozpiera jej płonący żar! Precz z dawnemi złemi i surowemi zwyczajami! Precz z przelewem krwi!

Litość, litość i tylko litość!

---

I z litością podeszła do trzeciego ptaszka.

— Nie bój się — rzecze aksamitnym głosem, jesteś grzesznikiem, ale ja ci nic złego nie zrobię, gdyż lituję się nad tobą!

— Nie otworzę nawet klatki i nie dotknę się Ciebie.

— Milczysz? — To dobrze! Milczenie stokroć lepsze jest od śpiewania swawolnych piosenek.

— Drżysz? — Tem lepiej! Drżyj, drżyj moje dziecko, ale nie przedemną, a przed Stwórcą drżyj, przed Jego boskiem imieniem!

Obyś pozostał już takim—cichy, czysty, drżący...

— Ja ci pomogę drżeć! Z mojej pobożnej duszy będę dobywała dla ciebie po trochu słodycz i wiarę...

— Wraz z moim oddechem niechaj w ciało twoje wstąpi wiara i strach przed karą Niebios! Niechaj skrucha i uległość zagoszczą w twem serduszku!

I kot czuje teraz, jak błogo jest przebaczać, jako to zbożna radość nawracać kogoś, wpajać weń pobożność i dać światło wiary!

Rośnie świętobliwe serce w bogobojnej kotce. Lecz kanarkowi zabrakło tchu w atmosferze kociego oddechu.

— Udusił się.

Wkrótce ukaże się w druku piąty numer wydawnictwa, zawierający między innemi przekład noweli **D. Fryszmana**

---

Przygotowują się do druku tłomaczenia utworów **Szolem - Alejchema, Opatoszu, Fryszmana, Weisenberga, Berdyczewskiego, Nomberga, Bergelsona, Segałowicza** i innych.

Redaktor i wydawca: E. ZYLBERMAN.